

**PRZYJACIELE
ZWIERZĄT**

Anton Marklund

PRZYJACIELE ZWIERZĄT

Przekład
Natalia Pecyna

CZW-
ARTA
STRO-
NA

Tytuł oryginału: *Djurvänner*

DJURVÄNNER © Anton Marklund 2011

First published by Wahlström & Widstrand

Published by arrangement with Nordin Agency AB, Sweden

Copyright © for the Polish translation

by Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2015

Copyright © by Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2015

Serdeczne podziękowania dla Swedish Arts Council – instytucji,
z dotacji której został pokryty koszt tłumaczenia.

Redakcja: Magdalena Owczarzak

Korekta: Malwina Błazejczak

Projekt okładki: Agnieszka Pasierska

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka

ISBN 978-83-7976-254-5

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

fax: 61 853-80-75

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

WSTĘP

Johannes

Szła z balkonikiem. Bardzo wolno. Staruszki tak robią. Skręciła w boczną ulicę. Taką, gdzie wciąż leżał wczorajszy śnieg. Śmialiśmy się, kiedy się przewróciła i uderzyła głową o ziemię. Śmiesznie to wyglądało. Śmialiśmy się, aż zrozumieliśmy, że nie może się już podnieść. Wtedy przestaliśmy się śmiać, bo wtedy to już nie było śmieszne.

Potem zabraliśmy jej torebkę.

Miałem nieść jej torebkę, kiedy stamtąd poszliśmy. Była ze skóry. Miałem na dłoniach krew staruszki, ale wytarłem się w torebkę. Na materiale zostały plamy jej krwi.

Przez pierwsze ulice po prostu szybko szliśmy, później zaczęliśmy biec.

Myślę, że powinniśmy zrobić na odwrót.

To nie do końca było tak, że obrabowaliśmy staruszkę. Tak też powiedziałem mamie.

– Ta babcia nie potrzebowała już torebki – powiedziałem. – Sama się przewróciła, a wtedy można było zrobić to, co my. W zasadzie nawet *dobrze*, że tak zrobiliśmy.

Zabraliśmy co prawda banknoty z portmonetki, która była w torebce, zanim wyrzuciliśmy ją do strumienia. Tego właściwie nie wolno. Ale to było raczej odzyskiwanie niż rabowanie. *Nigdy nie powinno się pozwalać na marnowanie rzeczy*, jak mawia tata.

Staruszka miała w portmonetce siedem banknotów po tysiąc koron. *Staruszki zawsze mają dużo pieniędzy w torebce*, powiedział Niklas, kiedy wyciągał banknoty. Ja dostałem jeden z tysięczkoronowych banknotów. Pozostali dostali po dwa. Ale mnie nie przeszkadzało, że oni dostali więcej niż ja. Było tylko siedem banknotów, więc nie wszyscy mogli dostać po dwa.

Wiedziałem, że mamie nie spodoba się to, co zrobiłem, więc wziąłem mój banknot do domu i dałem go jej. Pomyslałem, że bądź co bądź może trochę się ucieszy.

Ale mama nie ucieszyła się z banknotu.

Zaczęła płakać.

Rozdział 1

KARTECZKI RADOŚCI



Mona

Czasami myślę o życiu jakby to był film. W pewien sposób rzeczy stają się wtedy łatwiejsze do zrozumienia. Albo może nie tyle do zrozumienia, ile łatwiejsze do zaakceptowania.

Jeśli postrzega się to, co się dzieje, jako jedyną istniejącą oczywistość – jedyne, co jest dane – nieuchronnie będzie się przepełnionym wielką pustką.

Albo goryczą. To są jedyne możliwości, jakie można wybrać. Wielu wybiera gorycz, choć ta trawi od środka. Ale to przynajmniej jest jakieś uczucie.

Mój mąż wybrał gorycz, wybrał bycie trawionym, już kiedy Johannes był mały i było już jasne, że nie jest taki jak inni. Lennart wybrał widzenie rzeczy takimi, jakie *powinny* być, a nie takimi, jakie są.

Wydaje mi się, że wybrał źle.

Bo jeśli widzi się życie jak film, to tak już musi być. W filmie przeciwności losu mają znaczenie. To ten ból, którego nie można pojąć, prowadzi naprzód, do mejmy nadzieję szczęśliwego zakończenia.



W tym filmie chłopiec, albo raczej młodzieniec, siedzi ze swoją mamą na tylnym siedzeniu dużego, srebrnego samochodu. Mama ma oczy czerwone od płaczu i jest ubrana w czarny, stary płaszcz, którego się trochę wstydzi.

Powinnam była się ładnie ubrać, myśli. Tak jak on. Pierwsze wrażenie jest ważne.

Chłopiec ma na sobie egzaminacyjny garnitur. Kiedy mężczyźni ze srebrnego samochodu przyjechali, żeby go zabrać, siedział już na werandzie z drewnianym pudełkiem na kolanach i czekał, mimo że było zimno i była późna jesień. Jak tylko się dowiedział, że mają przyjść, poszedł na górę do swojego pokoju, założył garnitur, wziął pudełko, wyszedł na zewnątrz i usiadł. Nie podniósł wzroku, gdy przyjechali, przywitał się dopiero wtedy, kiedy jego ojciec powiedział mu, że ma to zrobić.

– Uściśnij rękę – mruknął Lennart ze swojego miejsca w drzwiach. Stał w połowie drogi do przedpokoju, jakby próbował ukryć się tam w ciemności. On też nie podnosił wzroku.

Tylko jeden z mężczyzn mówił. Drugi stał przy samochodzie, zastygł pochylony w kierunku maski, z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Był tam chyba tylko na wypadek, gdyby Johannes stał się agresywny.

– A więc to ty jesteś Johannes, jak sądzę – powiedział ten pierwszy niestosownie wesołym głosem, kiedy do niego podchodził.

– Zobaczmy, co możemy dla ciebie zrobić – ciągnął i uściśnął rękę chłopca, a jednocześnie próbował spojrzeć mi w oczy. Jego spojrzenie zdradzało, że on za swojego towarzysza wybrał pustkę.

– Jesteś duży jak na siedemnastolatka – paplał dalej. – Pewnie jesteś cholernie dobry w noszeniu ciężkich rzeczy?

Dziwnie to było powiedziane. Nawet Johannes to zauważył, więc nic nie odpowiedział. Bo i co miał powiedzieć?

Tak?

Johannes wziął tylko swoje pudełko i podszedł do samochodu. Wiedział, po co przyjechali.



W pudełku leżał klucz do jego obrony. Małe, zniszczone karteczki z pociętej kartki A4, które przemawiają za jego niewinnością. Może założył garnitur, bo zrozumiał, że od teraz życie będzie jak rozprawa sądowa. Dokądkolwiek

potem nie pójdzie – dokądkolwiek *my* nie pójdziemy – do sklepu Ica, biblioteki, instytucji opieki nad młodzieżą, każda czynność będzie jeszcze jedną rzeczą, za jaką będziemy osądzeni w oczach innych.

Zawsze można osądzać. Wynik zależy tylko od tego, jaką stronę się wybierze. A zawsze można spojrzeć pod złym kątem.

Nie można się jednak skarżyć, bo samemu robi się podobnie; sto razy każdego dnia wybiera się, czy się kogoś osądzi, czy nie. Nie zauważa się tego. Tylko ci, którzy są osądzeni, dostrzegają, że zawsze, *zawsze*, jest więcej niż jeden sposób patrzenia na sprawę.

Mężczyźni w srebrnym samochodzie nie rozumieją karteczek Johannaesa. Poproszą go o nie, przeczytają je, ale ich nie rozumieją. Nie mogą tego dla niego zrobić.



Siedzi i patrzy przez szybę samochodu. Pas bezpieczeństwa wisi mu luźno nad talią. Pochylam się i go poprawiam.

Jest duży. Ostatnie zaznaczenie ołówkiem po wewnętrznej stronie drzwi od spiżarni jest na wysokości 1,85 metra.

Siedemnaście kresek.

Siedemnaście rocznych słoików.

Ostatnio musiałam stanąć na krześle, żeby móc go zmierzyć. Wyglądał na całkiem dumnego, kiedy powiedziałam, że teraz jest wyższy od swojego ojca. Lennart ma 1,84 metra; widać to na jeszcze jednej delikatnej kresce, którą narysowałam, kiedy zaczynałam mierzenie. Sprzeciwiał się, ale w końcu się ustawił. Moja kreska jest dużo niżej niż kreski ich obu.

Johannes przekroczył ją już dawno.

Ale Johannes jest nie tylko wysoki, jest też duży. Waży ponad 90 kilo. Niewiele z tego to mięśnie, po jego ruchach widać, że nie lubi sportu, wygląda tak, jakby jego ramiona i nogi nie nadały. Widzi poruszającą się piłkę, ale nie umie przewidzieć jej trajektorii. Nie potrafi zrozumieć, że najlepsza droga do bramki nie zawsze jest prosta.

Jego waga to przede wszystkim tylko dziecięca pulchność, z której nie wyrósł, tak jakby jego ciało chciało podkreślić, że jeszcze jest dzieckiem, mimo że numer osobowy, widniejący w dokumentach mężczyzn, którzy po niego przyjechali, mówi coś innego.

Zawsze ma krótko obcięte włosy. Lennart strzyże go maszynką każdej niedzieli. Robi to już od wielu lat. W każdym razie przez ostatnie pięć kresk.

Johannesowi nie pasują tak krótkie włosy. Zabierają jego twarzy miły wyraz. Tak jakby patrząc na jego ogołoną głowę, ludzie spodziewali się, że będzie zły, a on się taki staje, bo tak się go postrzega.

Ale on nie przejmuje się wyglądem. Nigdy się na tym nie znał. Ubrania. Dziewczyny. Inni ludzie. Stało się już rutyną, że stoi z ojcem w łazience i z ręcznikiem na ramionach wsłuchuje się w monotonne brzęczenie maszynki do strzyżenia. Co niedzielę prosi Lennarta, by go ostrzygł. Lennart wie, co o tym sędzę, ale nie potrafi mu odmówić. Lennart robi dla swojego syna, co potrafi. Nawet jeśli nie zawsze to widać, uwielbia Johannes, tak samo jak Johannes uwielbia jego. Lennart wie, że rutyna jest dla Johannes, ważniejsza niż rezultat.

Być może ma rację.

Lennart

Między miejscowościami Boliden i Strömfors płynie strumień. Też mi strumień, to raczej jest jakiś pieprzony rów. Tylko jest nazywany strumieniem. Strumień Klochar. Tak jakby próbowano sprawić, że będzie wydawał się bardziej niezwykły niż tak naprawdę jest. Ale jakby nazwano go *rzeką* Klochar, ludzie chyba odkryliby bluff.

Tylko w jednym miejscu jest całkiem szeroki i to tam zbudowali most. Typowa socjaldemokratyczna Szwecja. Prawdopodobnie postawili ten most właśnie tam, żeby mógł być duży i kosztować dużo pieniędzy z podatków. Ale wcale taki nie jest, jest cholernie wąski.

Pewnego razu, kiedy byłem młody i chodziłem do podstawówki, pobieraliśmy próbki wody spod mostu. Nie pamiętam żadnej lekcji biologii, tylko akurat tę; jak schodziliśmy w dół stromeego zbocza. Była późna jesień,

tak jak teraz, woda była tak zimna, że aż ręce drętwiały, kiedy kopaliśmy dno plastikowymi pojemnikami, żeby zebrać glinę, którą zabraliśmy z powrotem do szkoły do *analizy*.

Kopaliśmy w poszukiwaniu małych zwierząt i dżdżownic, mierzyliśmy kwasowość wody papierkami lakmusowymi. Nauczyciel Hans Johansson powiedział, że woda w strumieniu Klocker była niesamowicie kwaśna, prawie jak kwas. Albo coca-cola.

Pan Johansson był niski, miał przedziałek na boku i hitlerowski wąsik. Sam zdecydował, że zostanie nauczycielem. To już chyba dużo o nim świadczy. Powiedział, że woda była kwaśna jak coca-cola, żebyśmy my, młodzi chłopcy, mieli wyrzuty sumienia, że czasami, kiedy było nas na to stać, kupowaliśmy sobie na przerwach napoje gazowane.

Nie znaleźliśmy żadnych roślin. Ani żadnych zwierząt. Tylko małą stonogę, którą Hans zabił formaliną, gdy stwierdził, że to dziwne, że się tam znalazła.

Pamiętam, jak podniósł szklany stoik tak, żebyśmy mogli zobaczyć, jak stonoga się miota. Kiedy tak ją obserwowaliśmy, powiedział, że to dziwne, że cokolwiek w ogóle mogło żyć w tym środowisku. Że woda była tak kwaśna, iż powoli wyzerowała wszystko, co się tam znalazło, poza tą stonogą. Jej w jakiś przedziwny sposób się udało. Podrapał się po wąsach. Najprawdopodobniej to kopalnia Boliden stała za tą kwasowością, jak stwierdził.

Później wlał do słoika formalinę i mogliśmy patrzeć, jak stonoga zastyga. Następnie postawił słoik na półce w sali od biologii, obok kosza z wysuszonym mchem.



Myszę, że trzeba było zostawić torebkę w strumieniu, żeby została wyżarta i zniknęła. Wtedy byłoby tak, jak gdyby Johannes nigdy jej nie zabrał.